

## Wojciech Tomczyk: Auto da fe (fragmenty powieści)

Jeszcze raz proszę pana o wybaczenie. Dziś mówię to, co myślę – ponownie uśmiechnął się uśmiechem kławego doktorka



**Jeszcze raz proszę pana o wybaczenie. Dziś mówię to, co myślę – ponownie uśmiechnął się uśmiechem kławego doktorka –** przeczytaj fragment powieści Wojciecha Tomczyka, który ukazał się w Teologii Politycznej nr 6: *Śmierć i polityka*

- Musicie się stać – powiedział. – Wy musicie się stać.

Popatrzyłem na niego. Oparł się o metalową barierkę. Popatrzył w stronę dachów Powiśla. Znaliśmy się już piętnaście minut. Piętnaście minut wcześniej podszedł do mnie pod bramą Uniwersytetu. Wychodziłem z księgarni, w której – rzecz oczywista – nie kupiłem żadnej książki. Może zresztą minęło już dwadzieścia minut. W każdym razie szybko przeszedł do rzeczy. Farba na barierce obłaziła, spostrzegł to, cofnął dłoń i wyprostował się.

- Kto musi się stać? I kim?

Brak reakcji. Pomyślałem, że nie dosłyszał. Pochodziłem przecież z narodu, który po stuleciach konspiracji i niewoli nabrał nawyku mówienia cicho i niewyraźnie. Powtórzyłem więc.

- Kto musi się stać? I czym? Albo kim?

Spojrzał na mnie.

- Nie chcę brzmieć banalnie. Wy musicie się stać – wy, Polacy.

Tego należało się spodziewać. Miałem przed sobą oszołoma. Człowiek stabilny psychicznie, nawet melancholik, nie zaczepia ludzi. Nawet tych wychodzących z księgarni.

- To nie jest takie proste – brzmieć banalnie. Nie wszyscy to potrafią – powiedziałem bez przekonania. Mój nowy znajomy chyba potrafił zabrzmieć banalnie.

- Pół dnia kręciłem się po mieście, szukając kogoś odpowiedniego. Przy dzisiejszej pogodzie nie było to wcale przyjemne. Byłem bliski rezygnacji, kiedy przez szybę księgarni zobaczyłem pana. Proszę mnie nie zawieść.

- Pan nie jest Polakiem?

- Nie, dlaczego? Jestem Polakiem.

Prawie się roześmiał. Rozmaite bywają źródła rozbawienia.

- Mówi pan: wy – Polacy.

Przestał się śmiać. Przez chwilę stał tak, wyłączony. Wreszcie uśmiechnął się, ruszył w kierunku schodów na końcu uliczki. Uśmiechnął się, jakby chciał mnie uspokoić.

- Jestem, jestem. Czy raczej byłem, byłem – zatrzymał się. – Proszę iść za mną, proszę się nie wahać – wzniosł palec w belferskim geście. – Polacy, tak, to jest ta wspólnota, której byłem członkiem.

- Bardzo to wszystko brzmi tajemniczo. Na pewno na niektórych robi to wielkie wrażenie – nie wiem, czy usłyszał ironię w moim głosie. Nie wiem, czy w ogóle mnie słuchał. Jednak ruszyłem za nim. Z drzwi klatki schodowej kamienicy wyszedł starszy mężczyzna. Na skórzanej smyczy prowadził dalmatyńczyka. Smycz była wyraźnie za krótka. Nieułożony, młody pies wrywał się swemu panu. Właściciel dalmatyńczyka uklonił się mojemu towarzyszowi, uchylając kapelusza. Uchylił go dokładnie, chwyciwszy kapelusz za główkę, nie za rondo. Z samej góry go chwycił. Nie było w owym uchyleniu nic pośpiesznego. Pewien automatyzm tego gestu dodawał mu pewności i godności. Doprawdy, gdybym założył kapelusz na przykład na maskaradę i miał go uchylić, niechybnie poległbym. Chcę być dobrze zrozumiany – pewność tego uchylenia niszczyła moje zaufanie do samego siebie. Nie spociłem się, ale po plecach przeszedł mi dreszczyk niepokoju. Właśnie dreszczyk, nie dreszcz. Tak, tak, tu raczej nie żartowano – to belferskie uniesienie palca w górę, uchylanie kapelusza. To wszystko nie prezentowało się swojsko ani terazniejszo. Przeszarżałe gesty mogły zwiastować nadchodzenie wydarzeń podejrzanych, sytuacji niepewnych, a co najmniej niecodziennych.

- Czym mamy się stać? My, Polacy? – zapytałem. Poza wszystkim czułem też, że tracę czas. Jak zwykle. Marnowanie czasu nie jest dla mnie niczym nowym. Jeśli tracenie czasu można nazwać rzemiosłem, to osiągnąłem w nim pewną biegłość. A w żadnym razie nie byłem w nim nowicjuszem. Mimo to poczułem smutek. Także i ten dzień nie był dla mnie bogaty we wrażenia. O wydarzeniach nie wspominając. Znów nie udało mi się kupić książki, nie spotkałem też nikogo oprócz tego raczej nieszczęśliwego dziwaka. Nie mogłem, niestety, odmówić mu sprawności w sztuce intrygowania. Lecz, bądźmy szczerzy, tak to już jest z dziwakami – początkowo nas zaciekawiają, potem rozczarowują,

wreszcie nużą. Gdybym wówczas mógł wiedzieć, jak bardzo się myliłem! W sumie moja wiedza niczego by zmienić nie mogła. Na szczęście nie znałem przyszłości, nawet tej najbliższej, najbardziej momentalnej, chwilowej, tej tuż, tuż...

- Macie się stać. Macie się po prostu zbliżyć do swej istoty. Na początek przestańcie rozmywać swoją tożsamość. Tylko tyle i aż tyle – dodał.

Tak, tego należało się spodziewać. Mój nowy znajomy był nudziarzem, gadułą i nieudacznikiem. Przeceniałem go. Nie był nawet dziwakiem. Najwyraźniej marnował swój talent udomowionego agitatora. Chodził po ulicach, knajpach, może nawet po galeriach sztuki i przekonywał do swej własnej ogólnej teorii wszystkiego. Użycie formuлки „Tylko tyle i aż tyle” kazało mi oczekiwać najgorszego. Musiałem liczyć się z tym, że najdalej w ciągu pół godziny usłyszę jeszcze: „Kto tego nie rozumie, ten nic nie rozumie”, albo nawet: „Taka jest prawda!”. Nie zliczę, ile razy słyszałem te i podobne komunały. Ile straciłem czasu, słuchając monologów złożonych ze spranych do czczości słów. Monologów obowiązkowo popartych gwałtowną gestykulacją i patrzeniem prosto w oczy, z bliska. Okazało się, że nie musiałem czekać nawet minuty.

- Musicie się stać. Teraz albo nigdy – uśmiechnął się. – Kto tego nie rozumie, ten nic nie rozumie – patrzył na mnie, jeszcze z dystansu, jeszcze nieco kpiąco. – Taka jest prawda.

To był rzeczywiście dobry moment, by uwierzyć w telepatię – gość najwyraźniej czytał w moich myślach. Postanowiłem myśleć mniej. W końcu nie miałem wiele do stracenia. Zdecydowałem się nawiązać

dialog. Dalsze odpowiadanie półsłówkami mogłoby być traktowane jako niegrzeczność. Musiałem wreszcie coś powiedzieć. Powiedzieć, ale co? Ogarnęło mnie jakieś nieokreślone niejasne uczucie. Może to była nieśmiałość, ta przyrodnia siostra paniki. Postanowiłem jeszcze przez chwilę sugerować roztargnienie.

Wchodziliśmy na kładkę biegnącą nad ulicą opadającą ostro w dół. Ulica łączyła Śródmieście z Powiślem.

- Przepraszam, naprawdę szukał dziś pan przez pół dnia kogoś, z kim mógłby pan porozmawiać o tym, co zważone ani zmierzone zostać nie może?

- Tym bardziej nie może zostać wycenione. To najprawdziwsza prawda. Właśnie tak spędziłem dzisiejszy dzień do wczesnego popołudnia, które mamy w tej chwili – wyciągnął z kieszonki kamizelki zegarek. Prawdziwy złoty zegarek w kopercie. Otworzył kopertę.

-Mamy kwadrans na drugą – czułem, że właśnie tak poda godzinę. Taki zegarek nie pokazuje trzynastej piętnaście, taki zegarek pokazuje „kwadrans na drugą”.

- I wybrał pan mnie? Nie spotkał pan nikogo bardziej odpowiedniego? Chcę powiedzieć, że sam siebie postrzegam jako człowieka pragmatycznego. Dla mnie sprawy, o których pan jest łaskaw mówić, stanowią całkowitą egzotykę. Muszę podkreślić z całą mocą, że imponderabilia niewiele mnie obchodzą.

- I co z tego? Co z tego wynika? Pana zdaniem – wchodziliśmy już pod górę, pod nami przejechał przegubowy autobus. Na jego burcie spostrzegłem plakat reklamowy. Dziewczyna w seledynowym bikini leżała na leżaku. Leżak stał na tropikalnej plaży, obok tęczy parasol. Z ust dziewczyny wydobywał się graficzny biały dymek. Dymek zawierał jedno, zamasyście napisane słowo: CHCĘ! Autobus zjechał w dół. A więc jednak, jednak zdecydowali się – pomyślałem. Nie odczułem spodziewanej satysfakcji. On zatrzymał się, odprowadzał wzrokiem autobus. Czyżby wiedział? Nie mógł wiedzieć. Przecież wiedzieli tylko oni i ja. Czyżby się domyślał? Może zareagowałem jakoś tak czytelnie? Autobus zatrzymał się na odległym przystanku. Plakat już dawno nie był widoczny. Ale przecież był, istniał, wisiał na burcie autobusu. Widziałem go. I on go widział. Teraz byłem już prawie pewien, że zdradziłem się jakimś grymasem, gestem. Jakimś odruchem. Byłem zły na siebie. I, nie mając innego wyjścia – odezwałem się. Lekko, trochę drwiąco, krótkie, niezłożone zdania. A jednak odrobinę niezwykle, nawet wyrafinowane.

- Chciałem jedynie przestrzec pana. Każdy człowiek unika rozczarowań. Chce mnie pan wciągnąć w patriotyczną, być może nawet górnolotną narrację. Tymczasem narracja ta jest mi całkowicie obojętna. Spotka pana rozczarowanie.

- Być może – zlekceważył moje ostrzeżenie.

- Tak właśnie się stanie – powiedziałem głosem pewnym i mocnym – i to nie będzie moja wina.

Chwycił mnie za ramię, przytrzymał. Spojrzał mi w oczy. Naruszenie prywatności należy do stałego repertuaru takich ludzi.

- Skoro jest piętnaście po pierwszej, to mamy jeszcze trochę czasu – oczywiście nie pofatygował się, aby wyjaśnić mi, do czego mamy owe trochę czasu. Być może oczekiwał reakcji. Być może znów chciał pobudzić moją ciekawość. Być może.

Ogolony był doskonale. Człowiek w jego wieku mógł zacząć się golić w czasach brzytwy – pomyślałem. Dla nas, wychowanych na maszynkach do golenia, podobna biegłość była nieosiągalna, jak skonstatowałem ze smutkiem. Był wysoki, szczupły, silnie przerzedzone włosy, niegdyś raczej brązowe niż czarne, były odrobinę zaniedbane. Ale nie na poziomie abnegacji. Miał na sobie białą koszulę w czerwone prążki. Koszula zapinana była na spinki. Spostrzegłem to, gdy uniósł palec, co w tej chwili uczynił ponownie. Miał jasne, tweedowe spodnie i granatową marynarkę. Marynarkę zdobiły złote guziki. Na stopach oczywiście mokasyny. Bardzo czyste. Mimo schludności cała jego garderoba, łącznie z butami, wyglądała na nadszarpniętą zębem czasu. Nie była znoszona, raczej zleżała. Jakby od nowości była stara. Innymi słowy, wyglądał jak kierowca amator na raucie w automobilklubie w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Podobnie ubierali się koledzy mojego ojca w czasach, gdy reprezentował nasz kraj w brydżu sportowym.

W klapie marynarki spostrzegłem srebrną odznakę. Dziś wiem, że była to złota odznaka szybowcowa. Dziś wiem o nim wszystko. To znaczy wszystko to, czego można dowiedzieć się o człowieku, nie przekraczając

granicy zatracenia graniczącego z obsesją. Wtedy jednak wydawało mi się, że odznaka nie jest granatowo- złoto- biała, a właśnie srebrna. Dodam jeszcze, że wówczas błędnie oceniałem także jego wiek. Wydawał mi się o kilka lat młodszy, niż był w rzeczywistości. W żadnym razie nie podejrzewałem, że jest blisko o pokolenie starszy ode mnie.

- Chce pan o coś spytać? – zapytał.

- Oczywiście – odparłem i odczekałem stosowną chwilę, ani krótką, ani długą. Po prostu właściwą. – Czy gra pan w golfa?

- Oczywiście – na chwilę zamilkł, jakby wahał się między prawdą a zmyśleniem. – Oczywiście nie gram. Nie gram w golfa. To wynika z ograniczeń, którym podlegało moje pokolenie – dodał. – Rozumie pan? – I rozpoczął wyliczankę. – Konieczność uniknięcia służby wojskowej, uczęszczanie do dziwnych szkół, potem chodzenie do źle płatnej, na ogół idiotycznie bezproduktywnej tak zwanej „pracy”. Potem przyszły represje, reglamentacja podstawowych artykułów, w sumie nędza i bieda. Nudne, nieciekawe życie. Dla nas cymbergaj był luksusową rozrywką, jeśli wie pan, co mam na myśli. Ale za to znam zasady. Także zasady gry w golfa – popatrzył na mnie. Kusiło go, aby zapytać, dlaczego stojąc na schodach między Pałacem Ostrogskich a Konserwatorium, zapytałem go akurat o golfa. Niestety nie zapytał. Tak oto straciłem pierwszą okazję, by przejąć inicjatywę. Żałowałem tego jedynie przez krótką chwilę. Nie miałem przecież pojęcia, w którą stronę pokierować rozmową, nawet gdyby udało mi się nadać jej ton. Pytanie o umiejętność gry w golfa było dosyć sprytne. Nawet bardzo sprytne, zważywszy na to, kto je zadał. Nie byłem przecież zbyt dobrym rozmówcą. Jeszcze na poziomie kawiarni potrafiłem coś niecoś z siebie

wykrzesać. Albo dla odmiany w nocnym barze, gdy następuje nieunikniony moment rozstania z wszelkimi ograniczeniami. Ale tak... w plenerze, w sytuacji obcy na obcego... byłem bez szans. Doprawdy, ci, którzy mnie znają wiedzą, że dwie, trzy szybkie riposty, jeden zgrabny cytat – mogą mnie zbić z pantałyku. Pytanie o znajomość reguł gry w golfa – pozornie bezsensowne i nie na miejscu – było, jeśli uwzględnić przyszły rozwój sytuacji, pytaniem wręcz wyrefinowanym. Dziś mogę przyznać otwarcie: zadałem je raczej intuicyjnie. Wielu ludzi nie może w to uwierzyć, ale tak właśnie było – kierowałem się przecuciem. I nie przypisuję sobie z tego powodu żadnej zasługi.

Chociaż w osobowości i wyglądzie mojego rozmówcy nie było nic naprowadzającego. Niektórzy twierdzą dziś, że on miał aurę. Łatwo powiedzieć! Rzekomo wytwarzał szczególną atmosferę. Może tak było, ja nie wyczuwałem nic, nie był nawet szczególnie spocony – ani o pierwszej piętnaście, ani, co dziwne, później. Ludzie znajdujący się w jego sytuacji, ludzie, którzy podjęli już decyzję, podobno pocą się. Tak przynajmniej słyszałem. On się nie pocił. Pomijając więc postrzeżenie pozazmysłowe, nic nie mogło nakierować mnie akurat na golfa. A postrzeżenie pozazmysłowe jest mi, mówiąc otwarcie, najzwyczajniej w świecie obce. Tak jak mówię – był w koszuli z kołnierzykiem. Koszuli, jak już chyba wspomniałem, wielokrotnie pranej – nie tylko ręcznie, ale zapewne także mechanicznie. Wszyscy znamy ten, nieosiągalny w żaden nienaturalny sposób, efekt utraty koloru na kołnierzyku. Te wyblakłe w jedyny z możliwych sposobów prążki. Nikt już nie nosi takich koszul. I nikt nie nosi koszul w ten sposób.

- Wybrałem pana – już dawno puścił moje ramię – bo spędził pan pół godziny, dokładnie trzydzieści trzy minuty, w najlepiej zaopatrzonej księgarni w kraju. Następnie wyszedł pan z niczym! Brał pan do ręki,

kartkował i odstawiał na półkę tytuły z tak różnych dziedzin – zawahał się chwilę – że jest pan albo człowiekiem niezwykle wszechstronnych zainteresowań, albo kompletnym dyletantem.

- Obstawiałbym to drugie.

- I to być może.

- Zresztą dyletant to zbyt wielkie, zbyt światowe słowo, jestem po prostu ignorantem.

- W chwili, gdy po odłożeniu *Dialogów konfucjańskich*, w wydaniu jakże zasłużonej Biblioteki Narodowej, przekartkował pan szybko wiersze zebrane Vladimira Estragona, by wreszcie sięgnąć po brytyjską encyklopedię boks, byłem bliski zwątpienia.

- To była amerykańska książka, nie brytyjska.

- Tak, Jankesi ukradli Europie już wszystkie imponderabilia, nawet boks.

- Pańskie rozgoryczenie i rozczarowanie Ameryką jest całkowicie uzasadnione. Stany Zjednoczone nie sprawdziły się w roli światowego lidera. Wobec tego przyjęły rolę globalnego wampira. Co notabene znów pchnęło Amerykę do rywalizacji z Rosją, tradycyjnie ssącą wszystkich wokół. Ssącą zresztą dla zasady, bo Ruscy nic z tego ssania

nie mają. Rosja chłepce ciepłą krew – tak było, jest i będzie. Ale proszę pamiętać – w pojedynku potworów wampir zawsze zwycięży. Dracula zawsze będzie mocniejszy od monstrum doktora Frankensteina. Innymi słowy, Stany czy Rosja zawsze będą robiły z Europą, co będą chciały. Ameryka to wampir dość dobrze sytuowany. Ma dość własnego złota i drogich kamieni. Rabuje nas więc z idei, pomysłów. Ukradli sztukę, ukradli i zniszczyli kino, zdominowali nawet boks. Czy pan wie, że na serio próbują piłki nożnej?

Zmęczyłem się, ale chyba powiedziałem wreszcie coś do rzeczy. W każdym razie zabrzmiało to wreszcie jakoś – nie płacząco i nie przeprasząco. On jakby mnie nie słyszał, a słyszał przecież doskonale. Z otwartego okna Muzeum Chopina dobiegł nas mechaniczny dźwięk fortepianu. Mazurki bywają nudne.

- Tam, w księgarni zachowywał się pan chwilami jak zupełny, całkowity cudzoziemiec. Patrzył pan na książki, jakby pan nie rozumiał liter. Jakby pan nie rozumiał polskiego. Byłem bliski zwątpienia. Bo mnie jest pan potrzebny jako Polak, Polak być może światowy, ale Polak.

- Jestem Polakiem i na to nic nie poradzimy – uśmiechnąłem się. – Dodam też, że raczej nie jestem światowcem. Wprawdzie wiem, że sztucców należy używać w kolejności, w jakiej leżą od zewnętrznej. Odróżniam Lourdes od Częstochowy. Wydaje mi się, że byłem kilka razy w filharmonii. Ale nie wiem wiele więcej. I nie doświadczyłem wielu przeżyć.

Ciągle mnie nie słyszał. W każdym razie nie słuchał. Niepomny doświadczeń, ciągle, w każdym razie zbyt często zapominam, że człowiek taki jak ja nie powinien oczekiwać zbyt wiele.

- Potem zrozumiałem – zawiesił głos i powtórzył – potem zrozumiałem, że bardziej niż historie interesują pana słowa. Ich barwa, smak, być może także forma graficzna. Nie interesują pana zapisy, fakty czy informacje. Klasyfikuje pan słowa, niczym ichtiolog ryby. Jest tak czy nie jest? – zapytał.

- A jakie ma to znaczenie?

- Żadnego, oczywiście – uśmiechnął się. – Pracuje pan w reklamie?

- Tak, to jest nie ściśle, chyba pracowałem w reklamie – odparłem. Nie paliłem się do rozmowy na temat mojej obecnej kondycji. Nie miałem przecież nawet auta. Bateria wyczerpała się. Tak bywa.

- To wyśmienicie, ma pan dużo czasu – i po chwili ciszej dodał – dla siebie. I tylko dla siebie.

Skąd wiedział, że pracowałem w reklamie?

- Wśród was, wśród pańskich rówieśników nie ma poetów, tym bardziej filozofów. Nie ma pan złej twarzy medialnego wałacha. Pozostaje więc reklama, albo sport. Sport jednak wykluczyłem. To nie wymaga uzasadnienia. Wystarczy spojrzeć.

Odsunął się, popatrzył na mnie i ruszył w dalszą drogę. Chciałem zostać. Chciałem zatrzymać się, oczywiście, nie na stałe. A nawet nie na długo. Chciałem wypuścić go na kilka, kilkanaście kroków, żeby nie wyobrażał sobie, że czuję się do czegoś zobowiązany. Nie czułem się związany z nikim, szczerze mówiąc. A w szczególności nie z nim.

- Chodźmy – szepnął, nie patrząc na mnie. Szepnął pokornie, lecz stanowczo. W tej jego pokorze było coś, jeśli nie zniewalającego, to osłabiającego. Mój plan legł w gruzach. Nie przejąłem kontroli nad sytuacją, która stawała się coraz bardziej konkretna, wyrazista. Ruszyłem za nim i po chwili byłem już obok niego. Moja sytuacja błyskawicznie przestawała być moją. Coraz bardziej oczywiste stawało się to, że on mnie gdzieś prowadził. Nie wiadomo, dokąd. I nie wiadomo, jaką miałem spełnić rolę. Czy miałem być tylko świadkiem? Czy też, broń Boże, miałem w czymś uczestniczyć?

## DRUGI

- Porównał pan Europę do Frankensteinia. Do monstrum pozszywanego z kawałków zwłok – uśmiechnął się. – Tirli, dirli, ti di... – dorzucił śpiewnie. – Porównanie dość oczywiste, ale przyznaję – świeże. Jestem ciekaw...

Urwał i ruszył dalej. Wyszliśmy na ulicę. Miło jest, nawet młodemu, przestać iść pod górę. Zwłaszcza w mieście, zakurzonej mieście.

- Ciekaw jestem pana opinii. Nie, nie zamierzam z nimi dyskutować ani tym bardziej ich powielać, czy popularyzować. Po prostu jestem ciekaw. Kiedy będzie pan miał coś do powiedzenia na jakiś temat, nawet oderwany, nawet banalny, niech pan po prostu mówi – zwolnił kroku, choć szliśmy po płaskim.

Ukończyłem tę uczelnię – powiedział; akurat stanęliśmy przed Konserwatorium. – To znaczy ukończyłbym ją, gdybym nie miał talentu. Talentu, jaki przydarza się raz na stulecie. Talentu, który mnie powalił i uczynił jałowym katatonikiem – na wszelki wypadek udałem roztargnienie, oszołomienie ruchem ulicznym; akurat przejechała pusta taksówka.

Mój towarzysz najwyraźniej zatrzymał się. Chciał mówić. Chciał sobie pogadać. I rzeczywiście zaczął.

- Mogłem iść w tyłu kierunkach, że tkwiłem w miejscu, nie mogąc się zdecydować. Komponowanie przychodziło mi z łatwością, Mozart był przy mnie ociężałym umysłowo Salierim. Moja charyzma jako wirtuoza

fortepianu przyciągała tłumy do sal koncertowych. Gdy miałem osiemnaście lat, w Japonii przezwano mnie Hiroszima-Nagasaki Ekspres, bo moje koncerty wyludniały ulice. W Indiach z tego samego powodu nazywano mnie Gangesem, w Warszawie nazywano mnie Antkiem Rozpylaczem. Do tej pory nie wiem, dlaczego.

Zamyślił się. A raczej udał zamyślenie, zawieszając głos. To bywa nazywane efektowną pauzą. Po chwili nastąpiło to, co nastąpić miało.

- Niestety, potem wszystko diabli wzięli – powiedział. I nie zabrzmiało to w żadnym razie ponuro, ani nawet smutno. Ot, beznamiętne stwierdzenie faktu. – Akademię Muzyczną opuściłem tylko częściowo dobrowolnie – tuż przed dyplomem.

I kolejna pauza. Podbijał w ten sposób znaczenie słów. Może zresztą naprawdę zbierał myśli?

- Opuściłem ją, ponieważ wcześniej, w wieku dwudziestu jeden lat, skomponowałem *Pasję według świętego Tomasza*. Jedyłą taką w całych dziejach muzyki.

- Nie można skomponować pasji według Tomasza. Święty Tomasz, o ile mi wiadomo, nie pozostawiło sobie ani ewangelii, ani żadnego innego opisu męki. Jeśli dobrze pamiętam, to nie istnieją żadne pisma tego akurat świętego.

- Tu się pan myli. Otóż istnieje apokryf zwany piątą ewangelią. Nazywa się ewangelią Tomasza. Tomasza apostoła, tego, którego nazywamy niewiernym.

- Nie wiem wszystkiego – powiedziałem nie wiadomo, po co.

- Wiem, że pan nie wie – to nie zabrzmiało sympatycznie. – Faktem jest, że święty Tomasz nie zostawił opisu męki. Zresztą w ogóle nie wiadomo, czy był na Golgocie.

Westchnął, spojrzął na parę studentów schodzących po schodach. Nieśli, oprócz plecaków, także futerały. Chłopak był raczej puzonistą, rudawa blondynka skrzypaczką.

Mijając nas, ukłonili się delikatnie. Jemu, przecież nie mnie.

- No właśnie. Na samym początku dokonałem niemożliwego. Byłem jak piłkarz, który w pierwszej połowie swego debiutanckiego meczu strzelił hat-tricka i do tego miał pięć asyst. Byłem niczym wędkarz, który po pierwszym ściągnięciu spinningu wyciągnął szczupaka olbrzyma; byłem jak matka, która od pierwszego strzału urodziła dziesięcioraczki...

- Był pan niczym poeta, który w pierwszym wersie pierwszego wiersza ustrzelił wszystkie dostępne i możliwe metafory – nareszcie udało mi się wtrącić coś swojego. Chociaż tak naprawdę dokończyłem jego myśl.

- Tak, byłem tymi wszystkimi ludźmi. Napisałem od razu utwór niemożliwy, przekroczyłem granice mojej dyscypliny sztuki. Na dodatek tenor-recytator mówił po aramejsku. Stało się najgorsze. Zaczęto przepowiadać mi wspaniałą przyszłość. Tak jak im – wskazał oddalających się studentów. Chłopak nagle zatrzymał się, odwrócił, podał dziewczynie swój instrument. Następnie wspiął się delikatnie na palce, podniósł prawą dłoń w górę, lewą natomiast schował za plecy. Brakowało mu tylko mulety, by mógł zacząć służyć jako model pozujący do plakatu opery Georges Bizeta *Carmen*. Może jeszcze przydałaby się wysadzana cekinami kamizelka. Następnie chłopak strzelił kilkakrotnie palcami. Stawy jego palców dysponowały wyjątkowo wysokim dźwiękiem. Być może było to skutkiem ćwiczeń. Klasnął w dłonie raz, drugi i trzeci. Wreszcie wykonał cztery obroty na czubku prawej stopy. Czwartego obrotu, mówiąc szczerze, nie dokończył. Sposób, w jaki chłopak wykręcił ów piruet świadczył o tym, że puzon był – przynajmniej dla niego – właściwym wyborem drogi życiowej. Na pewno właściwszym niż taniec.

Po wykonaniu owego łamańca chłopak ukłonił się bardzo nisko mojemu towarzyszowi. Najwyraźniej oczekiwał reakcji. Spojrzałem na swoje dłonie. Na pewno nie rwały się do oklasków. Postanowiłem udać, że im się tak po prostu przyglądam. Zresztą, co kogo obchodzi, co ja robię z moimi dłońmi? Wtedy on – Hiroszima-Nagasaki Ekspres – się odezwał.

- Tyle razy ci mówiłem, tyle razy prosiłem, abyś dał spokój Oldze.

Chłopak podniósł oczy, patrzył na niego. Może myślał o nieuchronnej dla ludzi jego pokroju konieczności samodoskonalenia się? Najwyraźniej z jakiegoś powodu zależało mu na opinii mojego towarzysza. Spojrzał też na mnie. Przestraszyłem się, że może mu zależeć także na mojej. Niestety, zależało mu, parzył na mnie wręcz błagalnie. Uważał mnie za kogoś ważnego, ważniaka być może. Patrzył. Był prawie gotów spytać mnie o ocenę, a nawet poprosić. Na szczęście wujek Hiroszima wybawił mnie z kłopotu.

- Nie masz przy niej nic do roboty i ona nie ma dla ciebie czasu. Nie zmarnujesz jej życia. Ona ma wielkie możliwości – mój kompan zwracał się teraz do dziewczyny. Ruda stała z zaciśniętymi ustami. Ponad wszelką wątpliwość – to ona była ową Olgą. To ona miała wielkie możliwości.

- Powinna wyjechać. Tutaj nic po niej. Na nią czeka świat. Nie zakotwiczysz jej tutaj rojeniami o pierwszym na świecie zespole puzonistów, o pierwszych w dziejach koncertach na puzon i orkiestrę. Nie na ciebie, na nią czeka świat. Olga! Natychmiast postaw jego puzon na chodniku! – prawie krzyknął. Chwycił palcami najwyższy guzik w swojej marynarce. – „Wyzwolin ten doczeka dnia, kto własną wolą wyzwolony” – wyszeptał cicho. Ja usłyszałem. Łza spłynęła z oka chłopaka.

- Może za ostro? – spytałem cicho.

- Przecież nic to pana nie obchodzi. Po cóż więc udawać współczucie? – odparł, nie patrząc na mnie. Znów czytał w moich myślach.

- Nie współczuję mu, zapytałem tylko tak, dla zachowania niezbędnych form – uśmiechnąłem się. W końcu nic strasznego się nie działo. Ta sytuacja tak naprawdę nie była, nie wydarzała się. Byłem świadkiem zwyczajnej wymiany wzajemnych uszczypliwości, wręcz przekomarzania się. Trochę dziwne było tylko to, że młodzi nie odezwali się. Nie można było mówić o wzajemności. To on dowalał młodemu puzoniście. Tamten pokornie słuchał.

- Olga, ponownie apeluję do ciebie – odstaw jego puzon na trotuar. Nic mu nie będzie, jest w futerale. Wystarczy potem przetrzeć futerał szmatką, aby zetrzeć zeń wszelki ślad – uśmiechnął się. – Chcesz, pożyczę mu chusteczkę.

Wyjął z kieszeni czystą chustkę, prawdziwą, płócienną chustkę w kratkę. Doprawdy, już za kilkanaście lat chusteczka ta miała prawo znaleźć się w muzeum, zapewne w kolejnym muzeum ocierania łez.

Chwilę trzymał ją w powietrzu. Chłopak wyprostował się, zerknął na dziewczynę. Jeśli chciał coś wyczytać z jej twarzy, to raczej niczego z niej nie odczytał. Podszedł do nas. Podchodząc, starał się patrzeć mojemu towarzyszowi w oczy. Prawie mu się udało – dopiero w ostatniej chwili odwrócił wzrok, skierował go na mnie. I ciągle patrząc na mnie, chwycił chusteczkę.

- Nie, no szacun, szacun – wyrzucił z siebie w przestrzeń. „Szacun” to taki duży szacunek. I jeszcze mówią „poracha” na dużą porażkę. Wspaniałe słowa, bardzo nam ich dotąd brakowało.

- Na próżno przeciwstawiasz się naszej miłości. My i tak zrobimy to, co chcemy – to mówiąc, chłopak rozłożył chustkę na chodniku, a dziewczyna postawiła na niej puzon. Młody puzonista przez chwilę patrzył to na futerał, to na nas. Wreszcie podniósł instrument. Po chwili podniósł też chustkę. Wyciągnął dłoń w naszą stronę. W dłoni chusteczka, trochę jednak uświniona, zwłaszcza jej środkowa część – nie była już śnieżnobiała.

Dziewczyna wyjęła mu chustkę z dłoni.

- Ależ, Aliku, muszę ją najpierw wyprać, nie wypada oddawać brudnej – schowała chustkę do naramiennej torby.

- Chciałem jedynie przestrzec cię, Olgo, abyś nie popełniła błędu. Wiele kobiet – także twoje siostry, twoje starsze siostry – popełniło błąd. Kardynalny błąd. Otóż zdecydowały się one na to, co dziś, nazywa się samorealizacją. Nawiasem mówiąc, nic podobnego nie istnieje. Nie istnieje samorealizacja, tak jak nie istnieje perpetuum mobile. One, tak jak większość ludzi, powinny były płynąć z prądem, korzystać z losu i uśmiechać się przy tym. Ty, Olgo, znajdujesz się w zgoła przeciwnej sytuacji.

- Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie twoja ocena niczego. A zwłaszcza mojej sytuacji.

- Masz rację – przerwał młodej kobiecie w najlepszy z możliwych sposobów: przyznając jej rację. – Ale ty, Olgo, jesteś przypadkiem wyjątkowym. Twoje skrzypce niosą ludziom pogodzenie się z nieuchronnym losem. Dają im zapomnienie o śmierci. To nie jest talent, przynajmniej w ziemskim znaczeniu tego słowa. Ty naprawdę grasz... Grając, pozostajesz w kontakcie z nienazywalnym.

Popłynął. Całkiem popłynął. Spojrzałem na młodych. Nie kupowali jego egzaltacji. Może jeszcze nie wszystko jest całkiem stracone? Zastanowiło mnie, jaki łączył ich rodzaj związku. Raczej nie był jej dawnym kochankiem. Dziewczyna nie wyglądała na zbyt doświadczoną. Mógł być jej ojcem. Ale najwyraźniej nie mógł być ojcem trzech dorosłych kobiet. Wspominał o zmarnowanym życiu jej sióstr, a więc łącznie z Olgą musiało ich być co najmniej trzy. Może więc był wujem, stryjem, przyjacielem domu? Był wirtuozem fortepianu, nie zaś skrzypkiem czy puzonistą. Raczej nie uczył ich wyrafinowanych technik dobywania dźwięku z martwych przedmiotów. Ale był także kompozytorem, skomponował niemożliwą *Pasję według świętego Tomasza*. To mogło świadczyć o tym, że był jednak dawniej jej nauczycielem, może nawet był nauczycielem ich obojga. Wtedy, dla przypomnienia, zerknąłem na jego spraną koszulę fińskiego maklera, na jego marynarkę kapitana portu jachtowego i zrozumiałem, że nigdy nie był niczym nauczycielem. I jeszcze ta egzaltacja – „Ty naprawdę grasz”, „w kontakcie z nienazywalnym”. Swoją drogą, ciekawe, co ona robi z tymi skrzypcami, kiedy nawiąże już ów kontakt.

Spojrzałem na nią. Olga była naprawdę ładna. Więcej, była interesująca. Wiedziała o tym, patrzyła mi w oczy. Miała rude włosy i jasną oprawę oczu. Oczy – ciemnoorzechowe, otoczone jasnymi, prawie białymi rzęsami, budziły niepokój. W żadnym razie nie lęk – ale swego rodzaju rozedrganie. Należała do kobiet, przy których człowiek, nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie być chamem. Tak, jej uroda była odrobinę wyzywająca – była piękna, pięknością widywaną prawie wyłącznie na płótnach mistrzów renesansu. Rafael Santi, tak się chyba nazywa ten malarz, imiennik jednego z wojowniczych zółwi. Może Tycjan. Alik pokornie stał obok. W tym jego staniu, w jego pokornym milczeniu zawierało się wszystko, czego nawet ja nie chciałem o nim wiedzieć. Dawał mi czas, abym nasycił się urodą jego dziewczyny, pokornie zgadzał się na możliwe szaleństwa mojej wyobraźni. Był frajerem, w najlepszym razie. Rzeczywiście nie powinni być razem. On zapewne wszystko robił tak, jak tańczył. Nie zależało mu. Natomiast na pewno chciał świętego spokoju. Był dumnym posiadaczem Olgi. Będzie rozpaczał po jej utracie, przez jakiś czas. Ten moment, moment ich definitywnego rozstania, zdawał się być już bliski. Łączyło ich dramatycznie niewiele. Nawet muzyka – paradoksalnie – dzieliła ich, nie zaś zbliżała. Jej klasyczne, solowe skrzypce raczej pogardały synkopą. W każdym razie odrzucały jako nieistotne to wszystko, co tylko było związane z sekcją dętą. Pomyślałem, że może mój towarzysz gra po jego stronie. Dezawuuując go publicznie, motywuje Olgę do obrony, lojalności i solidarności z ostentacyjnie lekceważonym absztyfikantem. Być może był po stronie Alika. Może więc był jego ojcem, wujkiem, stryjkiem?

- Wspomnisz moje słowa. W naszym gronie tylko ty się liczysz. Bez urazy – zwrócił się do mnie. – Znamy się od niedawna, ale wydaje mi się pan być człowiekiem co najwyżej ciekawym – uśmiechnął się

uroczo, jak uśmiecha się pan doktor do dziecka, aplikując mu tran – w żadnym razie zaś nie wybitnym. Ta zaś młoda dama bez wątpienia zachwyci świat. To znaczy zachwyci tych, którzy mają jeszcze zmysł słuchu. I go używają. Chyba, że jej absztyfikant jej to uniemożliwi.

To było kolejne ostrzeżenie skierowane pod moim adresem. Ilu ludzi używa dziś słowa „absztyfikant” ze zrozumieniem? Albo nawet bez zrozumienia? Byłem bezbronny, on rzeczywiście słyszał moje myśli.

- Jeszcze raz proszę pana o wybaczenie. Dziś mówię to, co myślę – ponownie uśmiechną się uśmiechem klawego doktora.

- Zawsze mówisz to, co myślisz – rzuciła Olga – dlatego jesteś tym, kim jesteś i osiągnąłeś to, co osiągnąłeś. Między innymi dlatego masz prawo, a nawet obowiązek pouczać innych. Musisz to robić. Jesteś przecież rzeczywistym królem niewidzialnego i niepoliczalnego.

- Nie, nie jestem królem nawet tam – uśmiechną się przepaszająco.

- Widzisz, nawet ludzie pokornego serduszka się na tobie poznali – prawie się roześmiała. – A panu, a właściwie – a tobie – sprawiło mi prawdziwą przyjemność, że skróciła dystans między nami – tobie życzę dobrej zabawy. On ci ją zapewni. Niezapomniane przeżycia. Oczywiście, jeśli przeżyjesz. Biedaku.

To już nie brzmiało dobrze.

- Olgo! Spróbuj powściągnąć swe emocje. To ci szkodzi. Pamiętaj, abyś potrafiła oddzielać rzeczy ważne od nieistotnych. To samo dotyczy także ludzi, osób wszelkiego rodzaju – odezwał się wreszcie Alik. Miał zaskakująco niski głos.

- Aliku, nie mów nic, idziemy. Zostawmy panów w ich własnym świecie.

Ruszyła energicznie, Alik za nią.

- Sąsiadem – zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała na mnie. – Ten pan jest naszym sąsiadem. Nie ojcem, nie dawnym kochankiem ani wujkiem, ani nie stryjkiem. Po prostu sąsiadem – odwróciła się ostatecznie i odeszli w stronę śródmieścia. Jej sukienka nie należała do naszego świata.

- Jej oczy jak dwa sterylne skalpele laserowe, nie? – teraz to on uśmiechnął się do mnie. Miał zadziwiająco białe zęby. Być może nie palił, raczej nie palił. Oczywiście, jak miało się okazać – do czasu. Znów się uśmiechnął. – Skalpelem można uczynić krzywdę, to pan zapewne wie.

Powoli zaczęliśmy oddalać się sprzed wejścia do Konserwatorium. Tym razem ruszyłem równo z moim towarzyszem. Nie było sensu udawać – to, co się wydarzyło, związało nas. Pamiętałem słowa dziewczyny: „Zostawmy panów w ich własnym świecie”. Tak oto mieliśmy swój własny świat, po niespełna godzinie znajomości. Byliśmy już trochę związani. Mogliśmy mieć przedtem wielkie i małe plany. Także plany

dotyczące spędzenia owego dnia. Choć przyznam, że ja nie miałem żadnego. Ludzie miewają chęci i dążenia, ale nawet gdybym miał takowe, musiałbym wstrzymać się z ich realizacją. Wstrzymać się co najmniej do końca tej podróży, do końca tego czegoś, co miało mnie spotkać. Niewątpliwie znalazłem się w sytuacji. To się musiało jakoś skończyć.

Tak myślałem wówczas. Przyznaję: wyobrażałem sobie swoją najbliższą przyszłość naiwnie, prostacko wręcz, i co tu kryć – linearnie. Szliśmy obok dawnego kina, dochodziliśmy do początku deptaku. Właściwie to nie jest deptak. Zwykła ulica, zamknięta dla aut. Spodziewałem się, że po prostu będziemy tak sobie szli, według jakiegoś planu, albo i bez planu, to tu, to tam, czasem coś się wydarzy, coś zobaczymy, czasem kogoś spotkamy. Po drodze trochę się będziemy przekomarzać. Być może kilka razy ja błysnę zgrabną pointą, on także może powiedzieć coś dorzecznego. Najwyżej na gruncie teorii obalimy dotychczasowy porządek rzeczy. Albo stworzymy podwaliny nowej dziedziny sztuki. Wymyślimy schematy działania przyrządów niezbędnych do osiągnięcia niemożliwego. Robiłem to już wiele razy. Innymi słowy, nie przewidywałem wówczas tego, co miało nastąpić. Nie towarzyszył mi żaden niepokój. Zaledwie kulturalne i całkowicie kontrolowane zaciekawienie. A wystarczyło spojrzeć w górę. Spojrzeć w górę, by ujrzeć...

Człowieka, który najwyraźniej siedział na krawędzi dachu i machał sobie nogami, jak gdyby nigdy nic. Jak mały chłopiec siedzący na poprzeczce trzepaka. Mężczyzna zamachał do nas przyjaźnie. Mój towarzysz pozdrowił go, znacznie bardziej powściągliwym gestem. Spojrzał na mnie. I ja zamachałem, choć nie znałem owego alpinisty.

### III

- Niech Pan błogosławi budowniczym trotuaru, po którym stąpasz, komandorze von Rausch! – wykrzyknął człowiek siedzący na dachu i ponownie zamachał dłonią.

„Komandor von Rausch”! To było pierwsze nazwisko mojego towarzysza, które usłyszałem tego dnia. Nazwisko w oczywisty sposób fałszywe. Trzeba przyznać, że brzmiało jak wypożyczone z trzeciorzędnej austriackiej śpiewogry. Nawet w szanujących się operetkach nie występuje „Komandor von Rausch”. Może we współczesnym dramacie. „Córki z piwnicy... wypuście córki z piwnicy”... Nie wiem czemu, przypomniała mi się piosneczka, którą polscy kibice przywitali drużynę przyjezdną na rozpoczęciu meczu Polska-Austria.

- Pozdrowiony bądź, człecze, zbieraczu jaskółczych gniazd, choć nikczemne jest twoje rzemiosło, a ty sam godzien litości – odpowiedział „Komandor” . Mówił cicho, był pochylony twarzą do błogosławionego trotuaru, tamten nie mógł go słyszeć. Mimo to odpowiedział.

- Nie ma tu jaskółczych gniazd. Jednak praca, którą wykonuję uniemożliwia mi zadośćuczynienie obowiązkowi grzeczności i zejście na dół. Zapraszam panów do mnie. W kamienicy są dwie windy, obie czyste i bezpieczne. Przepraszam za ten oczywisty dyskomfort – nie czekając na naszą odpowiedź, wsunął się w głąb dachu.

Weszliśmy do bramy, z niej na klatkę schodową. Windy rzeczywiście były niedawno wymienione, świeży tynk okalający framugi oczekiwał na zamalowanie.

- Ten młody człowiek stara się podtrzymać na mieście swą opinię sowizdrzała, i to postrzelonego sowizdrzała. Tymczasem jest jednym z najbardziej przenikliwych obserwatorów.

- Czy po to siedzi na dachu? – zapytałem. – Dla opinii otoczenia? Aż tak mu zależy?

- Myli się pan, myli się pan całkowicie – uśmiechnął się „Komandor”. – Jako człek praktyczny, ojciec sporej rodziny, czworo dzieci (małżonka w piątej ciąży) wykorzystuje swe doświadczenia sportowe w celach zarobkowych. Był przeciętnym wspinaczem. Ale w usługach wysokościowych radzi sobie całkiem dobrze. Ostatnio przekonał mnie – winda zjechała, otworzyłem drzwi, drzwi wewnętrzne otworzyły się automatycznie – otóż ostatnio udowodnił, że nihilizm jest nie tylko jałowy, ale także niepraktyczny.

- Mówimy o postawie życiowej, czy o idei ogólnej?

- I tak, i siak. Nihilizm prowadzi do totalnej porażki. Zawsze, w każdym wykonaniu. Nie będę pana nudził dowodem, proszę to przyjąć na wiarę.

- Piętro czwarte – odezwał się głos w windzie. I drzwi kabiny otworzyły się. Lecz „Komandor” ani drgnął.

- Poprosiłem go o pewną dyskretną analizę – uśmiechnął się. – Zapewne dziś przedstawi nam jej rezultaty. Otóż zapytałem go, czy możliwe jest jeszcze skuteczne spotkanie Polski poważnej, wręcz żałobnej, z Polską błazeńską, szyderczą.

- Wydaje mi się, że pytanie zawiera odpowiedź.

On pokręcił głową, gwałtownie. Temperatura rosła, jego gesty stawały się coraz bardziej zdecydowane, wręcz śmiałe.

- Otóż nie! Właśnie, że nie! – wykrzyknął i dodał stanowczo: – Proszę otworzyć drzwi. Ostatnie piętro – wychodzimy!

(...)

*Wojciech Tomczyk*



**Autorzy:** Tukidydes, D. Gawin,

Matyszkowicz, Stefanek, Szlagowski, Grabowska, Rymkiewicz,  
Stankiewicz, Stawrowski, Kahn, Irwin, Vlastos, Kołakowska, Ruczaj,  
Wildstein, Zaremba Bielawski, M. Gawin, Tomczyk, Lubelski, Voegelin,  
Brague, Kowal, Nogal, Czarnecki, Uklański, Kempski, Memches

**Wstęp:** Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz

**Oprawa:** miękka

**Format:** 21 x 29,5 cm

**Liczba stron:** 272

**Wydawnictwo:** Teologia Polityczna

**ISSN:** 1731-4232 **EAN:** 9771731423208